Rozmaitości

Dnia 12. Października **Nr 41.** 1839 Roku.

KOMPANIJA GRENADYJERSKA
48go PUŁKU FRANCUZKIEGO,
W CZASIE ODWROTU Z MOSKWY.

P. Emil Marco *de St. Hilaire,* ogłasza w dzienniku paryzkim *Siécle* zajmujące ułamki rozmaitych pamiętników z epoki Napoleona. Do tego rzędu należy powieść prawdziwego zdarzenia, wyjęta, jak autor powiada, z archiwów ojca Flambarda, którą tu dla tego szczególniéj umieszczamy, że w niéj główną rolę gra adjutant marszałka Davoust, pułkownik wojska polskiego za Księztwa Warszawskiego, późniejszy prezes Komissyi Województwa Płockiego.

Napoleon opuściwszy Moskwę, rozpoczął ów długi i dla wojska tak zgubny odwrót w towarzystwie marszałka Davoust, dnia 18go października 1812. W sześć dni potém stanął na nocleg z głównym sztabem w Borowsku po pochodzie, odbytym przez drogi prawie bagniste i pod nieustannym deszczem. Nazajutrz z rana, kiedy nakazywał porządek pochodu w myśli zajęcia Mało-Jarosławca i Uwarowsza, gdzie zamierzał zatrzymać się dłużéj, otrzymał wiadomość, że na cztéry mile przodem dywizyja Delzons z czwartego korpusu, pod rozkazami ks. Eugenijusza, nie zastała Moskali ani w Mało-Jarosławcu, ani na wzgórzach i w lasach przyległych. Położenie tego miejsca było ważne, Kutusów równolegle z kolumnami francuzkiémi postępujący, mógł jeszcze punkty te zająć i przeciąć trakt Kałuzki. Napoleon postanawia natychmiast zapewnić sobie posiadanie tych punktów własną obecnością, i udaje się w tę stronę, gdzie sądzi, że się znajduje jenerał moskiewski, a niezważając na ulewę, rozpoznaje spokojnie położenie miejsca, które może się stać widownią bitwy. W tém dochodzi go dosyć silny huk dział. Niespokojny, spina konia i przenosi się na pagórek, z którego spodziewa się widzieć okolicę boju, ale zasłona lasu nie dozwala mu nic rozpoznać. Natęża uwagę, huk dział się wzmaga.

»Nieprzyjaciel miałby nas wyprzedzić?« mówi do marszałka Davoust, który ciągle jest przy jego boku; »mielibyśmy się spóźnić! Chciałem tylko prześcignąć lewe skrzydło Kutusowa.« — »Najjaśn. Panie«, rzecze ks. Eckmühl, »może wojsko po długim spoczynku i wielkich trudach ociężało nieco w pochodzie, który W. C. Mość byłeś rozkazał.« — »Wszelako uszliśmy przeszło szesnaście mil.«— »Prawda N. panie, ale od Moskwy do Mało-Jarosławca, jest najwięcéj 110 wiorst; cztéry dni pochodu były dostateczne do przebycia téj przestrzeni, a potrzebowaliśmy dni sześć: Kutusów mógł nas wyprzedzić.« — »Jestże to bitwa?« rzecze Napoleon, gdy już usłyszał odgłos wyraźnych i blizkich strzałów karabinowych; »marszałku, jedź i pospiesz z wojskiem, bo tu idzie już nie o podboje, ale o zachowanie.«

Pomimo pospiechu, z jakim marszałek wypełnił rozkaz Napoleona, dopiéro wtedy przybył na plac bitwy, kiedy pomyślność boju dnia tego była zapewniona. Z tém wszystkiém, jeszcze się bito z zaciętością na drugim końcu miasta, a gdy druga dywizyja piérwszego korpusu, pod dowództwem je-

nerała Friant, na jedném ze wzgórzów Mało-Jarosławca zajeła stanowisko, działa nieprzyjacielskie odezwały się z odnowioną siłą. Davoust oddzielił natychmiast jednego z swoich adjutantów, pułkownika Kobylińskiego do ks. Eugenijusza; ale, kiedy ten oficer sztabowy przebywa linije bojową, kula działowa urywa mu nogę i zostawia go na polu pomiędzy umarłymi. W wieczór po tym świetnym boju, którego pomyślny wypadek, należy się czwartemu korpusowi; ks. Eckmühl, nie wiedząc jeszcze o smutnym losie swego adjutanta, przebiegał pobojowisko w nadzieï, że o nim jaką wiadomość poweźmie. Śród najokropniejszego widoku, ciągle o Kobylińskiego pytając, zatrzymuje się na chwilę w miejscu, gdzie na kilka godzin pierwéj, Delzons zapowiadał wojsku zwycięztwo, właśnie, kiedy kula ugodziła go w czoło. Brat jego, również jenerał, zasłaniając go sobą, chciał go odciągnąć z miejsca, gdzie największy ogień się krzyżował, kiedy inna kula i jego uderza w serce. Zginęli obadwaj w braterskiém objęciu. Davoust wzruszony opowiadaniem tego wypadku, oddaje pochwały bohaterstwu dwóch braci, kiedy oficer krwią zbroczony, zaledwo wydobyć się mogący z pod trupów, głosem bolejącym wyrzeka: »Przyjaciele, dozwolicież mi umrzéć bez ratunku!« Byłto głos Kobylińskiego. Davoust poznał go natychmiast. Zsiada czém prędzéj z konia, spieszy ratować swego adjutanta, ujmuje go w swoje ramiona, przemawia do niego, chce w omdlałym wzbudzić życie, posyła po chirurgów. Ci rozpoznają ranę: kula urwała temu mężnemu Polakowi nogę wyżéj kolana, życie jego jest w największém niebezpieczeństwie. Jeden z chirurgów uwiadamia marszałka spojrzeniem, że nié ma nadziei ocalenia. »Dla tego jednak«, rzecze Davoust głosem stłumionym, »starajcie się panowie ocalić go, zróbcie swoje powinność.«

Kula tak była poszarpała nogę, że postanowiono uciąć ją jeszcze wyżéj. Starszy chirurg uskutecznił natychmiast amputacyję w przytomności ks. Eckmühl, który sam trzymał w czasie operacyi jedne rękę Kobylińskiego. Mężny Polak przetrwał ją z odwagą stoiczną. Po opatrzeniu rany, Davoust znowu dodawał nadziei swemu adjutantowi, pocieszał go, uściskał czule, a poleciwszy go staraniu tych, co go otaczali, wsiadł na konia i pospieszył do cesarza, który czekał na niego z niecierpliwością.

W czasie bitwy i w ciągu reszty dnia, Napoleon zatrzymał się był dla uważania boju na prawéj stronie wielkiego traktu z Moskwy do Mało-Jarosławca, nad brzegiem Horodyny, w domku ubogiego tkacza. W téj to izdebce, podzielonéj na dwie części firanką z grubego płótna, rozstrzygały się losy wielkiego wojska i powodzenie odwrotu. Davoust zastał w niéj Napoleona, Murata, Eugenijusza, Bessiera, Berthiego i Rappa. W tém mizerném mieszkaniu zgromadzonych było oprócz cesarza, dwóch królów, trzech marszałków i jenerał. Już przed jego przybyciem rozprawiano tam z żywością, która droga bezpieczniejsza byłaby dla odwrotu. W tém wynurzaniu zdań strategicznych, byłoby niewątpliwie przyszło do osobistości, jak to w podobnych razach często się zdarzało, gdyby Napoleon tonem stanowczym sporów nie był przerwał, rzekłszy: »Dosyć tego panowie! ja się namyślę.« Potém usiadł przy stoliku, głowę oparł na łokciach i zakrył twarz obiema dłońmi, jak gdyby nie chciał pokazywać swojéj niespokojności. Obecni szanowali jakiś czas milczenie, które im Pan ich nakazał, kiedy Murat, który zawsze powodował się zazdrością, widząc wchodzącego marszałka Davoust, nagle je przerwał. Od początku wojny, dwaj ci wodzowie, wzajemnie się nienawidzili. Bój świeży, w którym nadto Murat żadnego nie miał udziału, wzmógł jeszcze jego zawiść. Spoglądając więc z dumą na marszałka i zwyczajem swoim rękoma poruszając, zawoła: »Nie zważam na to, czy mnie kto posądza jeszcze o nieroztropność i zuchwałość! Co do mnie, utrzymuje, że w wojnie okoliczności są wszystkiém i że zuchwałość jest w niéj prawdziwą roztropnością. Najj. panie, proszę tylko o jazdę, którą rozrządza ks. Eckmühl, a przyrzekam odeprzéć z nią w głąb lasów, te batalijony moskiewskie, które, jak niektórzy

sądzą, otoczyły nas i chcą przeciąć W. C. M. drogę Kałuzką.« Napoleon przewidując nowe sceny burzliwe, podniósł głowę i poskromił chełpliwość swego szwagra, odpowiadając mu: »Dosyć już zuchwałości, dla sławy uczyniono już za wiele; trzeba teraz myśléć o ocaleniu wojska.« Davoust zachował zimną krew i nie patrząc nawet na szwagra cesarskiego, rzekł spokojnie: »W. C. M. dobrze uczyni, jeźli odzwyczai króla neapolitańskiego od tych niepotrzebnych utarczek, które tylko utrudzają i niszczą jazdę. W dzisiejszym odwrocie należy ją zachowywać.« — »Ks. Eckmühl wynalazł do ocalenia wojska wyborny środek«, odpowiedział z pogardą Murat; »nie pozwala żołniérzom swoim bić się, jak tego dał przykład dziś z rana. Myślałem dotychczas, że ten wynalazek zatrzyma dla siebie samego.« Davoust, który złożył tylekrotne dowody swojéj odwagi, do żywego dotknięty wymierzonym przeciw sobie wyrzutem, odpowiedział natychmiast prawie z uniesieniem: »J. K. M. król neapolitański, wie bardzo dobrze, że jeźli piérwszy korpus nie miał udziału w świetnym boju dzisiejszym, to dla tego, że N. Wicekról (Eugenijusz) nie potrzebuje w działaniach swoich ani pomocy, ani rady niczyjéj; a jednakże w téj chwili nawet« dodał marszałek, obracając się ku cesarzowi z nowém wzruszeniem, — przypomina mi się bolesna strata jednego z najwaleczniejszych oficerów W. C. M. Tak jest, najj. panie, mój adjutant, pułkownik Kobyliński przejeżdzając liniję bojową, ugodzony został kulą działową. Nadto, wątpię, iżby J. K. M. król neapolitański, nawet na czele mojéj jazdy, wiele był pomógł pod Mało-Jarosławcem; Naj. Wicekról i inni, (marszałek wymówił ten wyraz z przyciskiem,) dowiedli, że w obec nieprzyjaciela W. C. M. umieli się obejść bez króla neapolitańskiego.« Rozjątrzony témi wyrazami Murat, miał na nie odpowiedzieć, kiedy Napoleon, który dotychczas zdawał się być na spór ten obojętnym, nagle ze stołka się zerwał i tonem powagi, rzadko używanym, ale któremu nie można się było sprzeciwić, zawołał: »Jeszcze raz panowie, dosyć tego. Ja sam mogę rozrządzać, jak mi się podoba, wojskiem, które oddaję pod rozkazy każdego z was. Nikt z was nie ma tu rozkazów do odbiérania od nikogo, tylko odemnie, odemnie samego, rozumiécie mnie! Książę Eckmühl« mówił daléj tonem łagodniejszym, »weźmie piérwszy korpus i stanowić będzie z nim przednią straż. Będziesz się cofał marszałku przez Medy na Smoleńsk, którędy odtąd uskuteczniać będziemy nasz odwrót; tam zaczekasz na mnie, jeźli nie przybędę pierwéj. Jedź panie marszałku, jedź do swoich dywizyj; żołniérze muszą potrzebować twojéj obecności.«

Davoust zaspokojony tym rozkazem, udał się do swojéj głównéj kwatéry, ale Murat wrzał ze złości. Napoleon zwrócił do niego mowę tonem łagodnym i uprzedził go, że jeźli te nieustanne spory z ks. Eckmühl, jeszcze raz się wznowią, ukarze go rozkazem dziennym i odeśle do Królestwa Neapolitańskiego.

Piérwsze dwie dywizyje piérwszego korpusu uskuteczniały już pochód stósownie do rozkazu cesarza, kiedy oficer ze sztabu wysłany przez marszałka Davoust, dla przyniesienia mu wiadomości o Kobylińskim, doniósł, że oficer ten, pomimo przewidywań chirurgów, jeszcze żyje. Marszałek przyjął tę wiadomość z radością, ale ambulanse zostały w tyle i nowa zachodziła trudność, jak w odwrocie uprowadzić rannego. Na szczęście znalazł marszałek w szybkim pomyśle środek ocalenia swego adjutanta: Stawa przed 48 pułkiem linijowym, który właśnie przed nim przeciągał i głosem swoim zatrzymuje w pochodzie kompaniję grenadyjerską drugiego batalijonu: »Grenadyjerowie! Adjutant mój, pułkownik Kobyliński, stracił nogę, dając wam przykład posłuszeństwa i odwagi; jestto Polak. Zostawicież go nieprzyjacielowi.« — »Nie! nie! krzyknęli żołnierze. Niech żyją Polacy!« Ci, co niedosłyszeli słów marszałka i nie wiedzieli, o co rzecz idzie, krzyczeli: »Niech żyje Cesarz!« Marszałek przebiegł wzrokiem cała kompaniję, która nie przestawała trzymać się w postawie surowéj: »A więc«, rzekł: »czy jest pomiędzy wami cztérech ochotników?« Na to wezwanie występuje szybko z szeregu

grenadyjer i prostując się, zawoła: »Jestem!« W téj saméj chwili wysuwa się za nim dwunastu innych i prawie razem porusza się na ochotnika cała kompanija. Marszałek obraca natenczas mowę do grenadyjera, który najpiérwszy wystąpił: »Jak się nazywasz?«—»Józef Trigaud.«—»Słuchaj Trigaud, powierzam ci mego adjutanta, osobę mi drogą, rozumiész mnie? Ty i twoi koledzy odpowiécie mi za niego. Wy inni, będziecie go strzegli, jak waszéj chorągwi!«—»Dobrze! dobrze! Niech żyje cesarz! Bierzemy to na siebie!« Krzyczeli na przemiany grenadyjerowie.

W oka-mgnieniu zrobiono nosidło, położono na niém rannego Polaka, wzięto go we środek i kompanija pospieszyła za cofającym się pułkiem.

Tymczasem odwrót, z razu porządny, w skutku coraz większych mrozów, zaczął przedstawiać widok okropny nieładu, samolubstwa i nędzy. Kompanija grenadyjerska postępowała zwolna, i jak gdyby od korpusu swego oderwana pośród nieprzejrzanych i szczątkami wielkiego wojska pokrytych równin. Otaczała zawsze łoże Kobylińskiego, czy to jéj przyszło odpiérać bagnetem ponawiane i regularne ataki jazdy Miłoradowicza, czy strzałami zagłuszać częste hura! Kozaków Platowa. Zawsze spokojna, mężna i wytrwała, musiała po odparciu niespodzianego ataku, działać nieraz zaczepnie i torować sobie drogę pośród mass nieprzyjacielskich. Dnia 3go listopada obliczono się w Wiazmie i kiedy piérwszy korpus stracił był dziesięć tysięcy ludzi, kompanija grenadyjerska 48 pułku, zmniejszona była już o połowę. Ale, dla czegoż ci waleczni, zostawieni prawie samym sobie, pośród powszechnego nieładu, nie stracili siły moralnéj, która wyższa nad przygody? Oto, bo mieli bronić nietylko własnego życia, oto, bo jeden z najsławniejszych marszałków cesarstwa, jeden z piérwszych towarzyszów cesarza, powiedział im był: »Powierzam mego adjutanta waszemu honorowi, waszéj waleczności; oddacie mi go!«—Jakoż po trzech tygodniach nieustannego boju, ta garstka z bohaterskiéj kompanii pozostała, uważała za zniewagę, ile razy pułkownik Kobyliński, widząc, że ci waleczni tak wielkie dla niego robią poświęcenia i tyle dla niego ciérpią, ile razy, mówię, prosił i błagał tych, co nad nim czuwali, nie o to, aby go nie opuszczali, ale o to, aby go dobili.

»Trigaud!« mówił nieraz Kobyliński, »musisz ty być tchórzem, że się nie odważasz wypalić mi w głowę.«—»Pułkowniku«, odpowiedział Trigaud z zimną spokojnością,—»szukajcie zaczépki, jaką tylko chcecie, to nic nie pomoże. Musimy zanieść pułkownika do Smoleńska żywego, lub nieżywego. Taki rozkaz marszałka, który nie żartuje ze służbą.«—»Czemużeście nie zagrzebali mnie w śniegu wczoraj, kiedy Kozacy na was naciérali! Jużbym dziś nie ciérpiał.«—»Byliby pułkownika żywcem ze skóry obdarli«, odpowiedział Trigaud, który w czasie ostatniego ataku, własną osobą rannego zasłaniał,—»ale nim ci pożéracze świéc ze skórą pułkownika się nacieszą, piérwéj zakosztować muszą mojéj skóry, tak być musi. Nie radzę im jednak ostrzyć sobie na nas zęby... Szkaradnicy!« —»Nié masz serca!« wołał Polak w uniesieniu gorączkowém i rzucając się na nosidle.—»Spokojnie pułkowniku; marszałek powiedział, że w podobnéj słabości nie trzeba się wcale ruszać. I dla tego niepotrzebnie pułkownik mówi nam nieprzyjemności, chociaż one mnie nie obchodzą, bo ich słucham jak piosenki.«

Dnia 9go listopada, cała kompanija przeprawiając się przez rzékę Wop, o mało nie znalazła w niéj śmierci, unosząc ciągle powierzonego sobie pułkownika. Wody tego strumienia zamieniły się w przeciągu 24 godzin w grube i ostre bryły lodu i wielu grenadyjerów z niego nie wyszło. W kilka dni potém, Trigaud z pięcią ludźmi pozostałymi z całéj kompanii, przetrwał na pół zmarźnięty owe nocy straszne i żałobne, które w rocznikach wojen pozostawiły tak okropne spomnienia. Wieczorem idąc drogą Włodzimirowską, na któréj co krok zawadzał o zmarźnięte i obnażone trupy, spostrzega za mgłą coś podobnego do domów; byłto Smoleńsk, ta obiecana ziemia, ta nowa Kapua, gdzie tyle pożądanych spodziewał się rozkoszy: ognia, dachu, słomy

i kawałka chleba. Okrzyk radości dodał ducha pięciu walecznym, którzy nieśli pułkownika Kobylińskiego. Wszakże, dochodząc przedmieścia, trzech z nich pada i umiéra, czwarty wlecze się jeszcze kilka kroków daléj... nareszcie z całéj kompanii, tylko jeden grenadyjer Trigaud wydziéra rozhukanym żywiołom ciało skośniałe Kobylińskiego. Nie mając dosyć siły wziąć go na barki, wlecze go za sobą, a kiedy już iść nie może, czołga się z nim naprzód. W końcu opadają go zupełnie siły, nikogo nie spostrzega, do koła cichość.... Na szczęście przybliża się z daleka kilku pojedyńczych ludzi; zwali się oni pompatycznie drugą dywizyją piérwszego korpusu. Trigaud woła o pomoc, błaga.... Ulitowano się nad nim i wnet cnotliwy grenadyjer z radością ujrzał Smoleńsk po dwudziestu dwóch dniach odwrotu, w ciągu którego walczyć musiał z nieprzyjacielem, mrozem, głodem i osłabieniem. Wszedł do tego miasta sam jeden z całéj kompanii, ale wypełnił święcie dane księciu Eckmühl słowo.

Nazajutrz Trigaud, dowiedziawszy się, że cesarz przybył już do Smoleńska, szuka marszałka po całém mieście, podobném do obszérnego szpitala, strzeżonego przez obszérniejsze jeszcze biwoaki: Wszędzie trupy, konie rozpłatane i pieczone przy ogniskach, utrzymywanych drzwiami i okiennicami domów. Marszałek założył główną kwatérę swoję na przedmieściu; Trigaud bierze kilku żołniérzy, przenosi z nimi umiérającego Polaka aż do mieszkania marszałka i składa go przy drzwiach, a sam wchodzi do domu i chce mówić z samym marszałkiem. »Czy marszałek kazał ci tu przyjść« zapytał go oficer, obwinięty podartym płaszczem kirysyjerskim. — »Przychodzę zdać mu sprawę z wypełnienia rozkazu, który mi zostawił w Mało-Jarosławcu i oddać mu drogi zastaw, który mi był powierzył.« — »Marszałek ma teraz u siebie radę i nie możesz ani z nim mówić, ani dłużéj tu zostawać.« »Słusznie« rzecze Trigaud »ale w takim razie komendancie« dodał smutny chciéjcie go uwiadomić, że grenadyjerowie drugiéj kompanii, 48 pułku linijowego, dywizyi Friant, piérwszego korpusu, którym złożył swego adjutanta, pułkownika Kobylińskiego, wypełnili swój obowiązek i że kompanija prosi marszałka o zaszczyt przeglądu.«

Davoust słyszał tę rozmowę, a gdy nazwisko Kobylińskiego doszło jego słuchu, wybiegł z drugiego pokoju i przybliżywszy się do grenadyjera, zapytuje go z żywością: »A gdzie mój adjutant?« — »Tutaj marszałku.« — »A twoja kompanija? — Na to zapytanie, Trigaud, przybiérając służbową postawę żołniérza, odpowiada głosem poważnym: »Obecna.« — »Ale twoja kompanija grenadyjerska.« — »Jestem« rzecze Trigaud i podnosi dłoń do czoła. — »Ale twoi koledzy?« — »To co innego marszałku; pod śniegiem i pod lodami rzéki Wop.« — »Jak to! wszyscy?« — »Wszyscy oprócz mnie.«

Książę Eckmühl do żywego wzruszony, pochwycił rękę poczciwego żołniérza, ścisnął ją i powtórzył głosem od żalu zmienionym. »Jak to! Wszyscy!« — »Tak! jestem szczątkiem kompanii.«

Davoust wybiegł z domu zobaczyć leżącego na ziemi Kobylińskiego, który jeszcze dawał znaki życia, a Trigaud powtarzał z dumą: »Oto jest Polak, któregoś mi marszałku powierzył; przyniósł go grenadyjer Trigaud!«

ALEKSANDER DUMAS

W ŁAŹNIACH ALEKSANDRYJSKICH.

Z francuzkiego.

Prócz meczetów, łaźnie są najpiękniejszą ozdobą oryjentalnego miasta. Te, do których mnie wprowadzono, były w wielkim, schludnym i pięknie przyozdobionym gmachu. Wchodzi się naprzód do obszérnego przedsionka, mającego po prawéj i po lewéj ręce pokoje do składania płaszczów, a w głębi szczelnie przymknięte podwoje. Przez te podwoje wchodzi się do pokoju, w którym atmosfera cieplejsza jest niż na dworze, i z tego pokoju, jak mnie późniéj zawiadomiono, jeszcze się oddalić można; lecz wstąpże nogą do którego z ościennych gabinetów, wtedy już nie jesteś panem swojéj woli; dwóch posługaczy biorą cię w swoje obroty, i aż do skończenia kąpieli, zostajesz zdobyczą instytutu.

Z największém zadziwieniem mojém spotkało mnie to samo nieszczęście. Zaledwo że wszedłem do gabinetu, już mię dwóch silnych posługaczy schwyciło w swe ręce; i w oka-mgnieniu z mego tureckiego stroju rozebrało do naga. Podczas gdy mię jeden opasywał w około bioder płóciennym szalem, drugi ozuwszy mię w ogromne, drewniane sandały, podwyższył mnie za jednym razem o całą stopę. Ten rodzaj obuwia sprawił nietylko, że wszelka ucieczka była niepodobną, ale i to, że przez niezgrabną wysokość moję nawet mnie równowagi pozbawił; jakoż niezawodnie byłbym upadł jak długi, gdyby posługacze z obu stron jak chwiejącą się tykę nie byli mnie podparli. Zostałem jeńcem; niemogąc się wymknąć i uciec, byłem cierpliwym, i pozwoliłem prowadzić się, dokąd się im podobało.

Poszliśmy do innego pokoju; lecz jakkolwiek byłem bardzo powolnym, jednakże z gorąca i

pragnienia omal, że się nie udusiłem. Mniemałem z początku, że przewodnicy moi zmyliwszy drogę, w rozpalony piec wsadzić mnie chcieli. Usiłowałem odtrącić ich od siebie, ale mój opór był daremny. Prócz tego nie będąc w stanie użyć całéj mojéj siły, byłem przymuszony ulédz przemocy. W kilka chwil późniéj z wielkiém zadziwieniem uczułem, że w miarę, jak na mnie pot występował, moje płuca coraz bardziéj się rozszérzały, i znowu wolno oddychać mogłem. W takim stanie przeszedłem przez pięć lub sześć pokoi, w których gorącość tak mocno się wzmagała, iż zacząłem wierzyć, że człowiek przed pięcią tysiącami lat z swoim właściwym żywiołem się rozminął i że prawdziwém jego przeznaczeniem było, być pieczonym lub gotowanym.

Nakoniec przybyliśmy do olbrzymiego pieca; w tém miejscu tak gęsta wzmagała się para, że na dwa kroki przed sobą nic widziéć nie mogłem, a gorącość tak była nieznośna, że już mi tchu niestawało. Przywarlszy oczy, poddałem się w zupełnéj niedołężności mym przewodnikom, którzy zaprowadziwszy czyli raczéj zaniosłszy mnie kilka kroków daléj, zdjęli ze mnie pas, odwiązali sandały i położyli mnie na pół omdlałego pośrodku pokoju na długim marmurowym stole.

W tém miejscu rozciągnięty jak ugotowany szczupak na półmisku, zacząłem się przyzwyczajać do piekielnéj atmosfery. Przyszedłszy do siebie, korzystałem z sił powracających i obejrzałem się w około. Wraz z innémi zmysłami odzyskałem także zmysł wzroku, i mimo gęstéj pary rozeznawałem dość dokładnie przedmioty, które mnie otaczały. Zdawało się, iż dręczyciele moi będąc zatrudnionymi w drugiéj stronie pokoju, na chwilę o mnie zapomnieli. Leżałem na środku obszérnego, czworobocznego salonu, który do pięciu lub sześciu stóp wysokości różnobarwnym marmurem był wykładany. Z rur rzędem ustawionych tryskały bez ustanku na posadzkę strumienie ukropu ściekającego w kotliny, które się we wszystkich cztérech rogach pokoju znajdowały. W tych kotlinach na powierzchni wody kołysały się rozmaitego kształtu wygolone głowy, wyrażające przez różne śmiészne wykrzywienia twarzy, rozmaity stopień swojéj błogości i uszczęśliwienia. Widok ten zajął tak daiece uwagę moję, żem zupełnie zapomniał o moich katusznikach. Lecz niestety, oni o mnie wcale nie zapomnieli; po niejakiéj chwili przyszli obadwaj; jeden z nich przyniósł dużą drewnianą miednicę, w któréj wodę z mydłem rozrobił, drugi miał pod pachą naręczko cienkich kłaków konopianych. Nagle jeden z hultajów tych bryznął mi w twarz ukropem, i zaczął lać na kark gorącą wodę mydlaną, drugi chwyciwszy mnie za ramię, zaczął jakby wściekły naciérać mi twarz, kark i piersi konopiami. Ten zuchwały sposób, jakim się ze mną obchodzono, i ból, który uczułem, były tak nieznośnémi, iż cała odwaga moja i gniew mój, razem się we mnie ocknęły. Zerwawszy się na nogi, ugodziłem w tył oprawcę z konopiami tak silno kolanem, że aż na sam środek pokoju zaleciał, mydlarzowi zaś taki wyciąłem policzek, że się natychmiast rozciągnął na podłodze. Ponieważ zaś mydło na karku, parzyło mnie do niewytrzymania a żaden inny sposób mi nie pozostawał, puściłem się więc prostym kierunkiem ku kotlinie, która się mi najbardziéj napełnioną zdawała i skoczyłem w nią aż p o s z y j ę. Ale niestety, nie najlepiéj sobie poradziłem, ratunek był gorszym niżli samo nieszczęście. Wprzódy tylko twarz, kark i piersi napuszczano mi gryzącą wodą, teraz oparzyłem się od stóp aż do głowy; woda była kipiącym ukropem. Zacząłem z bolu krzyczéć gwałtu, poskoczyłem ku mym pluszczącym się sąsiadom, którzy pojąć nie mogli, co się mi stało, nareszcie wyskoczyłem co prędzéj z méj łaźni. Jednakże nie tak pospieszno by uniknąć skutków szkodliwego obmycia. Całe moje ciało szczerwieniało jak rak ugotowany. Straciłem przytomność zmysłów! Myślałem, że jestem we śnie, lub że mnie zmora dusi. Lecz tu nie było żadnego omamienia; w oczach moich z największą rozkoszą kąpali się ludzie w ukropie, którego gorącości sam doświadczyłem. Jakimże sposobem to się działo?. Wyobrażenia moje o rozkoszy i bolu pomieszały się w mojéj głowie; ci ludzie znajdowali ukontentowanie w tém, co mnie boleść sprawiało. Zwątpiłem o moim rozsądku, nie dawałem wiary moim własnym uczuciom. Postanowiłem oddać się znowu pod opiekę mych dręczycieli, którzy wytchnąwszy po otrzymanéj odemnie porażce, znowu się do mnie przybliżyli. Udałem się z nimi bez oporu do innéj, pobocznéj łaźni. Posługacze dali mi do zrozumienia migami, bym się spuścił w dół po stopniach. Usłuchałem ich rozkazu, i zanurzyłem się w wodę mającą od 35 do 40 stopni gorącości, podług Celzyjusza, których 40 wyrównywa stu-dwudziestu stopniom Farenhajta. Gorącość ta zdawała się mi być mierną.

Z téj łaźni udałem się znowu do innéj, gorętszéj, ale jeszcze dość znośnéj. Podobnie jak w pierwszéj, zostałem w niéj niemal przez trzy minuty, poczém wstąpiłem w trzecią, która znowu o dziesięć do dwunastu stopni gorętszą była, a nakoniec dostałem się do czwartéj, do téj saméj, w któréj, moje piérwszą, piekielną odbyłem próbę. Z największą bojaźnią przybliżyłem

się do wanny, lecz miałem stałe przedsięwzięcie przejść przez wszystkie stopnie mojej piekielnéj wędrówki. Najprzód zanurzyłem w wodzie tylko palce u nóg; była ona wprawdzie bardzo gorąca, ale przecież już nie takim ukropem jak wprzódy; powoli zanurzyłem w niéj całe ciało, i zdziwiłem się niemało, gdym ją uczuł zupełnie znośną. Po kilku chwilach nie myślałem już, że zostaję w ukropie, jakkolwiek przekonany jestem, że woda od sześcindziesiąt do sześćdziesiąt pięciu stopni gorącości w sobie miała. Gdym wyszedł z łaźni, szkarłatny kolor ciała mego w karmazyn się przemienił.

W téjże chwili wzięli mnie znowu posługacze w swoje ręce; opasawszy mi biodra płóciennemi ręczniki, i obwiązawszy głowę szalem, wyprowadzili mnie przez te same pokoje, przez które do łaźni wchodziłem, wdziewając na mnie z troskliwością coraz więcéj sukni przy każdéj zmianie temperatury, aż się nakoniec dostałem do pokoju, w którym mnie wprzódy bez wszelkiego zachodu do naga rozebrano. W tém miejscu zastałem miękkim dywanem pokrytą otomanę, na któréj się wygodnie położyłem. Poczém dozorcy zdjąwszy ze mnie pas i turban i obwinąwszy mnie szerokim wełnianym płaszczem, samego mię w pokoju zostawili. W tej chwili owładło mnie niewymownie przyjemne uczucie, jakaś błogość rozlała się po członkach moich, byłem całkiem szczęśliwy, ale tak osłabiony, że gdy się w godzinę późniéj drzwi otworzyły, ani z miejsca ruszyć się nie mogłem.

Silny, mocno zbudowany Arab wszedł do mego pokoju. Zbliżył się do mego legowiska, jak gdyby miał ze mną co do czynienia. Spojrzałem nań z niejaką trwożliwością, właściwą człowiekowi, który zniósł te wszystkie katusze, jakie dopiéro opisałem; jednakże nie starałem podźwignąć się z miejsca, gdyż byłem bardzo osłabiony. Arab ująwszy mnie za lewe ramię, zaczął wyruszać w niém z miejsca wszystkie stawy; to samo uczynił także z ramieniem prawém. Skończywszy z rękami, zaczął wyciągać nogi i kolana, i przemierzać wszystkie stawy moje podobnie, jak zwichnionemu dziecięciu; potém ułożył mnie w kształt gołębia, który ma być na rożen wsadzonym, a nakoniec wytężywszy moję kość pacierzową, uderzył mnie w grzbiet kolanem. Wrzasnąłem gwałtu z przestrachu, sądząc, że mi już cały grzbiet złamał. Jednakże Arab nie przestraszył się moim krzykiem, i owszem jeszcze przez cały kwadrans gniótł mi ręce, nogi, uda, kolana i wszystkie części ciała; nareszcie ugniotłszy mię jak ciasto i zmęczywszy do ostatka, zostawił mię jak nieżywego, i odszedł. W tej chwili osłabłem jeszcze bardziéj, niż wprzódy na całem ciele, czułem boleść we wszystkich stawach, i nie miałem nawet tyle siły, by się nakryć dywanem. W tém pojawił się posługacz, który przyniósłszy kawę, wonne trociczki i fajkę, zostawił mi do woli wybór, upoić się albo kadzidłem albo dymem z tytoniu. Pół godziny zostawałem w spiącym stanie; tonąc w rozkoszném upojeniu, doznawałem tak błogiej szczęśliwości, jakiej wprzódy nigdy nie uczułem, byłem zupełnie obojętnym na wszelkie przedmioty ziemskie, leciałem przez jakieś najpiękniejsze nieba.

Po niejakim czasie balwierz, który mi ogolił głowę, rozczesując faworyty i wąsy, zbudził mnie ze snu. Poczém znowu powrócił Arab, któremu dałem do zrozumienia migami, że się oddalić zamyślam. Przyniósł on moje suknie, i pomógł mi wdziać je na siebie. Poczém wprowadził mnie do pokoju przyległego z przedsionkiem, w którym mój płaszcz znalazłem. Za całą tę kąpiel, czyli raczéj za te wszystkie tortury i katusze, zapłaciłem półtora piastra, mniéj niż pół franka.

ZE LWOWA.

Krótko zebrana mitologija Greków i Rzymian, dla płci pięknéj, z niemieckiego przez F. K. z wyobrażeniami dwunastu wielkich bogów, według antyków. Nakładem Franciszka Pillera i spółki. (Str. 191.) Książeczkę tę uczciwie lubo zwięzle napisaną i mieszczącą wszelkie dziejów mitologii dotyczące się wypadki, zalecamy każdemu, chcącemu się z tą nauką w języku ojczystym obeznać, a mianowicie uzupełniającym wyższe wychowanie swoje młodym panienkom, dla których wiadomość mitologii, będąca niejako kluczem do klasycznéj oświaty, obojętną być nie powinna. Dodany jest pracowicie ułożony »Słowniczek mitologiczny«, służący za wskazówkę do wyszukania objętych w dziełku przedmiotów. Styl gładki, wydanie ozdobne.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Ner. 41. i obejmuje: 1) O tworzeniu kapitałów. 2) Odpowiedź na artykuł w Nrze 35 »Tygodnika« przeciw ułatwiającemu sposobowi zasiewu koniczyny dla Podolanów. 3) O kształcie i własnościach koni, jak dalece te w potomstwo przechodzą. 4) O pożytkach gorzelnianych. 5) Wiadomości czasowe. 6) Zdarzenie prawdziwe.

Szereg najnowszych powieści rozpoczął pan J. Kraszewski dziełem: *Poeta i świat.* (Poznań roku 1839 str. 274.) Jenijalny utwór obfitego w co-raz nowe pomysły pisarza, w którym tenże prozaicznemu światu powiada, co jest poeta i jakie jego na tym padole cierpień przeznaczenie. Autor-poeta wdziera się do najskrytszych tajników duszy, wykrywa je i maluje z zadziwiającą prawdą, barwami dziewiczéj piękności. Pełen ironii życia, przed oczyma naszémi przeprowadza walkę idealizmu z realizmem, w końcu któréj pierwszy jak zwykle ulegając przytłoczony ciężarem prozaiczności, i gasnąc z przeczuciem zajaśnienia w lepszym świecie, jako pamiątkę po sobie zostawia łzę politowania i żalu nad samochcąc cierpiącym marzycielem. S. J.

P. Hadziewicz, malarz krakowski, mianowany profesorem szkoły malarskiéj w Moskwie, wykończył przed wyjazdem swoim z Krakowa piękny i bardzo szczęśliwy w kompozycyi obraz St. Joachima, do katedry na zamku krakowskim.

Wynalazca oświetlania gazem. Niedawno odkryto, że właściwym wynalazcą oświetlania gazem był węglarz, z departamentu Mozy. Człowiek ten był pierwszym, który dla oświetlenia w nocy swojego pomieszkania, płyn rozwijający się z palącego się drzewa w rurę wprowadzić i zapalić doświadczał. Wynalazek ten, który późniéj cokolwiek ulepszono, już w roku 1798 przedłożono rzeczy-pospolitéj francuzkiéj; ale go nie przyjęto, ponieważ sądzono, że na wielką stopę zaprowadzić się nie da. Późniéj Anglicy wzięli go w swą opiekę i lepszy z niego użytek zrobić umieli.

Sposób ratowania topielca. Towarzystwo filantropijne w Brystolu, przysłało doktorowi Feirbrother w Klistonie śrébrny medal, że ocalił życie chłopcu, który utonąwszy, przez cały kwadrans był pod wodą, i któremu po wydobyciu, dopiéro w kwadrans lekarskiéj pomocy udzielić było można. Doktor ten tym sposobem dopiął swojego celu, iż przytrzymując palcem usta dziecięcia, i przyciskając po bokach muszkuły podbrzusza, zepsute powietrze z płuc przez nozdrza wypuszczał. Metoda, któréj doktorowie w takim razie dotychczas używali, zależy na nadymaniu płuc, lecz ta metoda się nie powiedzie, skoro osoba była już przez kilka minut w wodzie.

Wykaz wydatków na rożne wyznania we Francyi. Dziennik: *Archives du Christianisme* obejmuje w piętnastu numerach budżet wydatków państwa dla rozmaitych wyznań we Francyi na rok 1840. Ogólna summa wynosi 35,744,859 franków. Z tego otrzymuje ministerstwo religijne na wydatki administracyi 204,559 franków. Dla katolickiego wyznania wyznaczono 34,491,300, dla protestanckiego 959,000, dla izraelskiego 90,000 franków, a zatém dla pierwszego 240,300, a dla drugiego 35,000 franków więcéj niż w roku 1839. Trzech kardynałów arcybiskupów, jedynastu arcybiskupów i sześćdziesiąt sześciu biskupów otrzymuje z owéj summy 1,052,000 franków, sto siedmdziesiąt czterech jeneralnych wikaryjuszów, sześć-set sześćdziesięciu kanoników, 3,301 proboszczów, 25,576 kapelanów, 5,480 wikaryjuszów, w ogóle 28,440,700 franków; 397 reformowanych i 232 luterskich pastorów w ogóle 843,600 franków; 103 rabinów (między którymi jest jeden wielki rabin centralny a siedmiu wielkich rabinów) w ogóle 69,500 franków pensyi. Protestanckim proboszczom przygodne dochody potrącają się z pensyi państwa, a pominąwszy domowe stosunki ewanielicznych proboszczów, jeżeli we Francyi obok trzydziestu trzech milijonów katolików, dwa milijony protestantów liczymy, okazuje się nadzwyczajna niestósowność w summie, jaką to państwo na oba te kościoły wydaje, a przeto francuzkiemu rządowi jeszcze wiele rzeczy uzupełnić pozostaje, za nim się bezstronnem uwzględnieniem obudwu kościołów będzie mógł poszczycić, chociaż ze wszech miar już wiele dobrego zdziałano.

Śmierć Lafonta. Publiczne dzienniki donosiły już o śmierci Lafonta, sławnego wiolinisty. Szczegóły, które teraz w pismach publicznych o jego śmierci umieszczono, obudzą niezawodnie w całéj Europie jeszcze większy udział dla tego w swoim zawodzie uwielbianego męża. Lafont wyjechał był z panem Herz z Tarbes do Bagneres, dla wyprawienia koncertu, lecz dowiedziawszy się, że tamże koncert dla ubogich już zapowiedziano, nie chcąc przeszkadzać dobremu uczynkowi, zajęli miejsce na *imperyjale* pocztowego powozu i odjechali. Lecz w pół drogi postylijon nieważając na przedstawienia swych podrożnych, zaczął nadzwyczajnie popędzać konie; na skręcie gościńca wywrócił się powóz, a mianowicie na prawą stronę. Lafont, który siedział po lewym boku, uderzony od przeciwnéj strony powozu, otrzymał cios śmiertelny; wyjąknąwszy tylko słowo: »zginąłem!« przytém nazwisko swojéj żony i dzieci skonał. Złamał w sobie cztery żebra. Ciało jego zawieziono do Tarbes, gdzie mu pogrzeb sprawiono. Taki koniec miał ten skromny i doskonały artysta.— Lafont był synem adwokata w Tuluzie; już w trzynastu latach odznaczał się muzykalnym talentem, później brał lekcyje u Rodego i wzbijał się coraz do większéj doskonałości w swoim kunszcie. Był on pierwszym wiolinistą przy kaplicy cesarzowéj Józefiny, poźniéj w tym samym charakterze wyjechał do Rossyi; za powrotem swoim do Francyi, został pierwszym wiolinistą przy królewskiéj kapeli i towarzyszącym księżnie Berry na fortepijanie. Barton był jego nauczycielem w kompozycyi, a Garrat w śpiewie. Jeszcze przeszłéj zimy dawał muzyczne wieczory w swoim domu, na których z zapałem młodzieńczym wykonywał najpiękniejsze utwory. Wyprawił także jeden koncert publiczny, który nie domyslając się, że mówił prawdę — »swoim ostatnim« nazwał. Lafont oprócz dwóch oper, które w Paryżu i Petersburgu przedstawiano, napisał 7 koncertów, 15 aryj z waryjacyjami, 15 duetów na skrzypce i Fortepijan i przeszło dwieście śpiewów romansowych. Ludwik XVIII. mianował go kawalerem legii honorowéj. Umarł w 49 roku swego życia.

Wąż olbrzymi. W połowie miesiąca sierpnia b. r. w menażeryi pana van Aken w Rotterdamie, wydarzyła się scena, która bardzo smutny koniec mieć mogła. Dla sprawienia należytego głodu niedawano wężowi olbrzymiemu przez trzy miesiące żadnego pożywienia. Po upływie tego czasu, gdy dozorca przyniósł mu w klatkę żywą kozę, zgłodniały wąż rzucił się na dozorcę, i opasawszy go swojémi pierścieniami, byłby w nim niezawodnie kości zgruchotał, gdyby van Aken postrzegłszy ten wypadek natychmiast nie przyskoczył. Z wielką trudnością i tylko za pomocą czterech dozorców, powiodło się mu uwolnić nieszczęśliwego z tego objęcia, i w skutek środków lékarskich, których niezwłocznie użyto, przywrócono mu do tego stopnia zdrowie, że już znowu w menażeryi posługiwać może.

Zwyczaj w Batawii. Chińscy mieszkańcy w Batawii mają ten zwyczaj, iż na płaskich dachach swych domów, stawiają garnki, dnem lub otworem ku ulicy zwrócone. W pierwszym razie okazują takowe, iż w tym domu są córki, których jeszcze za mąż wydać nie można, w drugim zaś, że córki są już dojrzałe. Jestto publiczne wezwanie dla kawalerów chcących się żenić, zastępujące w téj mierze zwyczaj europejski, ogłaszania podobnych rzeczy w gazetach.

Pamięć o Janie Kochanowskim. D. 4. września r. b. po raz pierwszy w nowo ukończonéj kaplicy we wsi Czarnolesie (niegdyś Jana Kochanowskiego), dziś Księztwa Jabłonowskich, w Królestwie Polskiém dziedzicznéj, pobłogosławił kapłan zgromadzonym na nabożeństwie chłopkom, którzy do dnia dzisiejszego w tradycyjonalnéj powieści przechowują święcie przekazaną od ojców pamiątkę tego, który umiał czuć ich niedolę, cenić cierpliwość i cnotę. Kaplica ta, lat temu kilkanaście przez ówczesną właścicielkę dóbr rzeczonych rozpoczęta, wzniesioną jest w czystym guście gotyckim pod opiekuńczym cieniem stuletnich lip, niegdyś młodych towarzyszek skołatanéj groźnemi burzami i uginającéj się już wówczas pod ciężarem lat ukochanéj lipy Kochanowskiego. Mury kaplicy oparte są bezpiecznie na szczątkach lamusu i fundamentach owego domu z modrzewiu, w którym skromny i bogaty w cnoty Poeta, zbyt krótkie chwile szczęścia przepędziwszy, nie jednę łzę uronił, opłacając drogo tytuł ojca poetów, który może po części winien temu, że był nieszczęsnym ojcem Urszuli. Ściana wschodów wiodących do zakrystyi, stoi nieporuszona w ruinie odkrytéj, tak, jak ją czas po owym mężu zostawił. Wszakże w Czarnolesie wszystko tchnie jego pamiątką. dwór teraźniejszy obok dawnego postawiony, nosi ten sam napis, którym Kochanowski swój własny ozdobił. Lipy już jednak nié ma, przetrwawszy kres wszystkim rzeczom doczesnym naznaczony, sama lat temu kilkadziesiąt ze starości runęła; fałszem jest zupełnym, jakoby przez niewiadomość ściętą została; owszem naznaczono i zachowano w pamięci miejsce, w którém dawniéj stała, i obecnie pomnik przypomina przechodniom, że sława, szczęście i boleść zarówno przemijają, i że na wspomnienie niekiedy tylko liczyć można!

(K. W.)

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*